Monika Żeromska - wspomnienie

Witold Malesa-Boniecki

Moje pierwsze spotkanie z panią Moniką odbyło się w jej warszawskim mieszkaniu przy ulicy Wspólnej. Pamiętam, jak otwierała mi drzwi ubrana w beżową spódnicę i beżowy bliźniaczek. Była na wysokich obcasach. Nawet w domu przyjmowała zawsze gości w pantoflach na obcasach. Mieszkanie było przestronne. Składało się z trzech pokoi i ze sporej kuchni. Drzwi były otwarte do wszystkich pomieszczeń. Kudłaty szary pies ze schroniska - Filon przywitał mnie przymilnie machając ogonem. Później często wychodziłem z nim na spacer na pobliski skwerek. Na oknie stała klatka z kanarkami i doniczki z kwiatami. Pani Monika bardzo lubiła zwierzęta i ptaki. Znała się na nich i chętnie o nich opowiadała. Była też autorką cyklu pocztówek z ptakami. Te akwarele wisiały wtedy na ścianie werandy, na dole, w domu w Konstancinie. Warszawskie mieszkanie było przytulne. Stały w nim antyczne meble - przywiezione z Sopotu gdańskie lub biedermeierowskie szafy, czeczotowe stoliki i komody. Na ścianach wisiały stare ryciny, staloryty, stare porcelanowe i ceramiczne talerze, a także olejne obrazy pani Moniki: kwiaty i martwe natury. Nad dużym stołem wisiał obraz przedstawiający tak ukochaną przez nią willę „Świt" w Konstancinie, wybudowaną pierwotnie dla malarza Zdzisława Jasińskiego. Właśnie od niego była odkupiona przez Stefana Żeromskiego i ofiarowana matce Moniki na imieniny 26 lipca 1920 roku.

W sypialni Moniki wisiały jej dwa autoportrety: jeden z paletą w ręku a drugi, bardzo interesujący, namalowany w formie staropolskiego portretu trumiennego. Nie wiem, co się z nimi stało. Wszędzie leżały stare kobierce i dywany. Na stole stała patera z jabłkami, w wazonach zawsze były kwiaty. Całe to wnętrze przypominało raczej pokoje w staropolskich dworach lub przedwojennych mieszkaniach. Herbatę piło się siedząc w głębokich fotelach, zawsze ze starych filiżanek, z których każda pochodziła z innego kompletu. Całe to otoczenie bardzo odbiegało od szarzyzny PRL-owskiego życia. Tak żyła kiedyś polska inteligencja!

W jednym z pokoi spała w zielonym pluszowym fotelu starsza siwa pani. Miała na kolanach książkę. Była to pani Anna Żeromska. Gdy już wychodziłem, pani Monika przedstawiła mnie matce. Ponieważ powiedziałam wtedy coś wesołego, pani Anna zapytała mnie, czy pochodzę z Siedlec. Zdziwiłem się i zaprzeczyłem. Siedlce - to było jej rodzinne miasto. Uważała, że pochodzą stamtąd najdowcipniejsi ludzie. To było pierwsze i ostatnie moje z nią spotkanie. Później pani Anna złamała nogę, dostała zapalenia płuc i zmarła nie dożywszy stu lat. Została pochowana obok Stefana Żeromskiego na cmentarzu kalwińskim przy ulicy Żytniej w Warszawie. Byłem tam kilka razy razem z panią Moniką.

Pani Monika była bardzo związana z matką. Były jak dwie przyjaciółki. Rzadko się rozłączały. Wiem, że pani Anna bardzo się martwiła, z czego córka będzie żyła po jej śmierci. Za zabrane jej prawa autorskie otrzymała od władzy ludowej sporą rentę, z której obie żyły. Dochody pani Moniki za jej prace malarskie były sporadyczne i dość umiarkowane. A emeryturę twórczą miała Monika bardzo skromną. A do tego matka prosiła, by po jej śmierci córka przestała malować. A malowała zawsze na stojąco. Miała od dzieciństwa kłopoty ze wzrokiem, wcześnie musiała zacząć nosić okulary, potem doszły do tego silne bóle w kręgosłupie. Pani Monika jednak w pewnym momencie nie dotrzymała obietnicy i chyba ze względów finansowych zaczęła na nowo malować. Były to przede wszystkim portrety. Jako jeden z ostatnich namalowała mój portret. Pozowanie nie było wcale męczące. Siedziałem przy dużych sztalugach na wysokim sosnowym stołku, a pani Monika stała przede mną w wysmarowanym farbami fartuchu, podchodziła i odchodziła od sztalug z pędzlem i paletą w ręku. Przez cały czas pracy nad portretem snuła swoje opowieści o ojcu, o przedwojennym życiu, o dalekich podróżach polskimi statkami, o Szwajcarii i Włoszech - dwóch krajach, które szczególnie były jej bliskie. Lubiła zagłębiać się w przeszłości. Jakby w ten sposób uciekając od codzienności. Pamiętam, jak kiedyś opowiadała o kazaniu włoskiego księdza, w którym ten usiłował wytłumaczyć znaczenie słowa „godere", co w wolnym przekładzie oznacza używanie, kosztowanie życia.

Opowiadała w sposób mistrzowski, nigdy nie narzucała się słuchaczom, uważnie słuchała pytań. A była niezwykle wdzięczną causerką. Opowieści jej zawsze były pełne wdzięku i dowcipu, nie wolne też od miłej dla słuchającego autoironii. Najchętniej pani Monika wspominała swoje dzieciństwo. Opowiadała o ojcu, który lubił chodzić rano po ogrodzie w Konstancinie, trzymając w ręku zerwane jabłko. Opowiadała też, jak kiedyś podczas wigilii udławiła się ością i przerażony ojciec biegał wieczorem po Konstancinie szukając lekarza. Pani Monika twierdziła, że szczęśliwe dzieciństwo to taka konfitura na całe życie. Uważała, że wspomnienia z tych wczesnych lat pozwoliły jej zmierzyć się z dalszym losem, z wojną, okupacją, powstaniem. Chętnie spotykała się też ze

swoimi przyjaciółkami z młodości, z którymi wspominała dawne lata. Należały do nich m.in. Hanna i Barbara Skarżanki, Elżbieta Osterwianka, Hanna Szczepkowska, Halina Machlejdówna, Maria Skoczylasówna. Elżbieta Osterwianka pozowała jej do portretu swego słynnego ojca.

Mojego portretu nie mogłem oglądać przed ostatecznym ukończeniem. Gdy go zobaczyłem, zdziwiłem się, że mam na nim długie podkręcone wąsy w stylu Lecha Wałęsy, a także beżową kamizelkę. A ja tymczasem pozowałem do portretu w czarnym swetrze z golfem, bo byłem wtedy zafascynowany egzystencjalizmem francuskim. Pani Monika powiedziała, że kamizelkę domalowała ze względu na to, że w czasie studiów na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie uznawana była przez swego mistrza - profesora Tadeusza Pruszkowskiego za kolorystkę i nie mogła pogodzić się z tym, że spod jej pędzla wyjdzie takie szaro-czarne płótno. Natomiast jeśli chodzi o wąsy to zgodziła się. Podeszła szybko do sztalug i dwoma pociągnięciami pędzla je skróciła. Potem portret został oprawiony w grubą ramę z surowego, pokrytego cienka warstwą werniksu drewna i był prezentowany na kilku wystawach pani Moniki jako „Portret młodego solidarnościowca". Dziś wisi w moim mieszkaniu w Warszawie.



Monika Żromska, Portret Witolda Malesy. Zbiory autora

Przychodziłem do pani Moniki, by nagrywać różne rozmowy dla Polskiego Radia. Potem pani Monika wydała w „Czytelniku" pięć tomów swoich niezwykłych wspomnień. Całość przeczytałem jednym tchem, przychodziłem też na jej spotkania autorskie. Pamiętam, że w czasie jednego z nich Helena Zaworska spytała się Moniki, czy może opowiedzieć o jakichś konfliktach pomiędzy nią a matką. Pani Monika roześmiała się na to i odpowiedziała, że mogły być to jedynie spory dotyczące ciepłych reform lub zbyt jaskrawego makijażu. Te radiowe opowieści, książkowe i prywatne często się pokrywały. Dziś nie potrafię już powiedzieć, co było opowiedziane, a co opisane. Myślę, że jak każdy człowiek i pani Monika skrywała w sobie jakąś głęboką tajemnicę, jakiś ból, że nie założyła prawdziwej rodziny, że nie miała dzieci. Była dzieckiem rozpieszczonym przez swoich rodziców. Potem wyrosła z niej ładna, elegancka panna, mówiąca kilkoma językami, bystra, inteligentną, żądna podziwu i hołdów, podróżująca po świecie, zapraszana na dziewicze rejsy polskich statków. W czasie jednego z nich, stanęła przed matką w sukni balowej i spytała się, jak wygląda. Na to pani Anna odpowiedziała, że dla każdej matki jej dziecko

jest najpiękniejsze. Natomiast w czasie balu noworocznego na Zamku Warszawskim postawiono ją w jednej parze z nuncjuszem papieskim, bo miała na sobie karmazynową suknię do ziemi i do niej fioletową narzutkę. Nuncjusz zaprosił ją, by usiadła obok niego na kanapie. I przez cały bal nikt nie zaprosił Moniki do tańca, nie chcąc przeszkadzać w prowadzonej po włosku konwersacji. Monika była wściekła.

Jej pierwsze małżeństwo z Bronisławem Zielińskim zawarte w 1939 roku nie było udane. Bardzo bliski jej był natomiast Gruzin Mieczysław Czyhiryn, sąsiad z ulicy Brzozowej, hodowca kanarków, które dawał Monice, nazywając ją czule córeczką. Wszystkie jej kanarki nosiły imię Pupinetti, jak kanarek panny Salomei z „Wiernej rzeki". Pod wielkim urokiem pana Mieczysia była i sama pani Anna. Monika nazywała go mężem mimo znacznej różnicy wieku. Jego wielki portret wisiał na sztalugach w mieszkaniu przy Wspólnej. Pan Mieczyś woził po wojnie panie Żeromskie swoim samochodem, sprawował też opiekę nad domem i ogrodem w Konstancinie.

Pani Monika w czasach powojennych poświęciła się sprawie popularyzacji twórczości ojca. Zbierała po nim pamiątki, pierwsze wydania jego książek. Jeździła na spotkania z młodzieżą i z czytelnikami jego książek. Opiekowała się szkołami i bibliotekami jego imienia. I opowiadała, opowiadała, opowiadała... Ze śmiechem wspominała, że wszyscy dziwią się, że jeszcze żyje córka Stefana Żeromskiego. Wspominała też pewnego kierowcę, który uparcie twierdził, że ona jest Urszulką Kochanowską.

Sam pamiętam takie jedno spotkanie w Towarzystwie Przyjaźni Polsko-Islandzkiej, gdzie Monika opowiadała o swojej podróży na tę wyspę i na Wyspy Owcze, a także o Janie z Kolna, który jako pierwszy polski żeglarz dopłynął w tamte strony, co utrwalił zresztą Stefan Żeromski w „Wietrze od morza".

Mnie doradzała, jakie utwory Żeromskiego powinny być zradiofonizowane. Dzięki niej zrobiłem dla radia adaptację opowiadania Żeromskiego pt. „Pavoncello". Słuchała później jego realizacji radiowej, która nie bardzo jej się spodobała, bo uwspółcześniliśmy trochę język, a pani Monika uważała, że zdań Żeromskiego nie wolno zmieniać, że są jak dwie połówki orzecha. Miała nawet łzy w oczach. W ogóle uważała, że adaptatorzy, to pozbawieni pomysłów i talentu ludzie, którzy żerują na dobrej literaturze. Trochę mnie to stwierdzenie zabolało. Rozczarowała ją też wizyta Filipa Bajona, który odwiedził ją przed przystąpieniem do realizacji filmu według „Przedwiośnia". Uwielbiała natomiast Andrzeja Wajdę i jego ekranizację „Popiołów".

Pani Monika lubiła wygodne i ciekawe życie. Jej styl życia mógł wydawać się nieco drobnomieszczański. Obce jej były idee ojca. „Ludzie bezdomni" i czy „Syzyfowe prace"- to nie były książki, które wpłynęły na uformowanie jej charakteru. Za największego pisarza uważała Josepha Conrada i stawiała go przed ojcem. Była osobą wymagająca i kapryśną. Jeden ze starających się po wojnie o jej rękę był Niemcem i nazywał ją polnische Kapryschnitza.

Drażliwą sprawę pierwszej żony ojca – Oktawii zbywała milczeniem. Raz tylko zaprotestowała, gdy obok jej domu w Konstancinie powstała kawiarnia „Oktawia". Adama Żeromskiego nazywała swoim bratem. Chętnie mówiła o miłości ojca do niego. Nałęczowa jednak nie lubiła. Nie jeździła tam, bo pamiętała o zniewagach, które spotkały jej matkę przed wojną, gdy odsłaniano tam pierwszy w Polsce pomnik pisarza. Nie przeszkadzało to jej jednak podarować Muzeum Żeromskiego w Nałęczowie piękny portret Żeromskiego pędzla Eligiusza Niewiadomskiego. Wisi tam do dzisiaj w Chacie. Wiele też eksponatów podarowała dla mieszkania Żeromskiego na Zamku Królewskim w Warszawie. Lubiła muzea, zwiedzała je bardzo chętnie w Polsce i w czasie zagranicznych wojaży. Znała się na sztuce, szczególnie na sztuce dawnej, antycznej, na sztuce etruskiej, a także na renesansowym malarstwie włoskim. Chętnie o tym rozmawiała. Jej marzeniem (nigdy nie zrealizowanym) było posiadanie własnego antykwariatu.

W powojennym, opuszczonym Konstancinie, gdzie prawie we wszystkich willach dookoła był kwaterunek i lokatorzy celowo niszczyli zabytkowe domy, by jak najprędzej otrzymać przydział do bloków, pani Monika rezydowała właśnie jak królowa. Wszyscy ją znali i szanowali. Willę „Świt"- zniszczoną i zdewastowaną odzyskała w kilka lat po wojnie. W czasie okupacji był tam niemiecki kwaterunek. Niemieccy żołnierze palili w piecach klepką z podłogi i meblami, a także książkami i rękopisami. Najcenniejsze rzeczy: obrazy Jana Stanisławskiego, drzeworyty Skoczylasa, szachy wykonane przez Wojciecha Brzegę zostały wywiezione. W skrytce w kuchni odnaleziono listy miłosne Żeromskiego do pani Anny. Też pożarł je ogień. Pani Anna powiedziała, że gdyby oni tego nie zrobili, uczyniłaby to ona sama. Nigdy nie poznamy ich treści. Niemcy celowo niszczyli dom. Dzieła zniszczenia dokonali też powojenni dzicy lokatorzy, którzy w każdym z pokoi ustawili kozę.

Początkowo pani Monika mieszkała w Konstancinie tylko w lecie. Razem z matką stołowała się w położonym niedaleko Domu Pracy Twórczej Zaiksu. Siedziały tam zawsze w jadalni w niszy, zawsze ktoś się do nich dosiadał, zawsze toczyła się tam ożywiona rozmowa. Z daleka widać było wysoki siwy kok pani Moniki i jej ciemne, trochę kocie oczy. Potem towarzystwo przenosiło się na ławkę do ogrodu. A po jakimś czasie wszyscy szli do willi Świt" na poobiednią kawę czy herbatę. Podwieczorek spożywano zawsze na wielkim tarasie nad wejściem, na zielonej ławeczce pod wielkim parasolem. Dookoła w doniczkach kwitła czerwona szałwia. Kto tam nie był! Antoni Słonimski z żoną Janiną, Irena i Stanisław Lorentzowie z córką Aliną, Irena i Jan Parandowscy, Hanna Skarżanka, Elżbieta Osterwianka, Barbara Skarga, Maria i Kazimierz Brandysowie, Ola i Aleksander Watowie, Jadwiga Żylińska (zjadła kiedyś przez pomyłkę ciasteczka Filona i bardzo jej smakowały), Alicja i Jerzy Bliklowie (zawsze przynosili ze sobą pyszne wypieki), potem przychodził Julian Stryjkowski (ten z kolei uważał, że Monika ma twarz jak zły kot i przynosił jej swoje książki i kwiaty, choć słynął ze swego skąpstwa).Tadeusza Różewicza pani Monika zapraszała na karczochy, które sama potrafiła przyrządzać, jako jedno z niewielu dań, bo twierdziła, że matka zawsze wyganiała ją z kuchni i potrafiła sama przyrządzić tylko sos winegret i spaghetti bolognese. Różewicz zawsze zaznaczał, że chce być z panią Moniką sam na sam, bez osób trzecich.

Dom konstanciński urządzony był w stylu dawnych konstancińskich domów. Pani Monika przywiozła tu meble, ryciny, dywany i porcelanę ze swojego domu w Sopocie po jego ostatecznej likwidacji. Na ścianach wisiały jej obrazy olejne m.in. jej praca dyplomowa - obraz olejny: anemony w wazonie, a także kilka rysunków pani Anny. W dawnym gabinecie Żeromskiego z dawnych mebli pozostało tylko jego biurko, w którym ktoś odpiłował dwa boczne blaty, pozostało trochę książek i fotografii rodzinnych, kilka starych miniatur. Nad kanapą pani Monika powiesiła swój obraz, przedstawiający jaśminy w wazonie. Po pokojach biegał pies. Najpierw był to Filon, później towarzyszyła mu przywieziona ze schroniska szczekliwa kundelka Laura. Na oknie stały tu też klatki z ptaszkami i doniczki z kwiatami. Wszędzie było pełno kwiatów. Stały w starych szklanych wazonach i porcelanowych dzbankach. Na werandzie były meble wiklinowe. W maju kwitły jaśminy, zasadzone jeszcze przez Żeromskiego, i bzy, w czerwcu pachniała orientem azalia pontyjska w wielkiej doniczce po środku otoczonego przyciętym bukszpanem gazonu. W kuchni stały wielkie słoje z zasypanymi cukrem malinami i czarną porzeczką. Pani Monika produkowała pyszne nalewki.

Był też stary adapter i płyty winylowe. Dyskretnie dochodziły z głębi mieszkania dźwięki tak ulubionej przez nią muzyki Vivaldiego czy Scarlattiego. Była tam jakaś dziwna atmosfera, dziwny spokój i zaduma. Wszyscy to zauważali, wszyscy to potwierdzali...

Pod koniec życia pani Monika przeniosła się na stałe do domu w Konstancinie. Spędzała tam cały rok. W lecie większość czasu spędzała na tarasie. Siedziała na ławeczce całymi dniami. Czytała gazety i książki, przyjmowała gości, po obiedzie drzemała. Po raz ostatni widziałem razem z moją mamą Monikę w oknie gabinetu Żeromskiego. Wyjrzała wtedy przez okno i ostro krzyczała, by sąsiedzi uciszyli psy, bo nie mogła urwać sobie poobiedniej drzemki.

Stąd też wywieziono ją do warszawskiego szpitala na Banacha, gdzie zmarła. W czasie nabożeństwa pogrzebowego w warszawskim kościele ewangelicko-kalwińskim wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że wraz z jej odejściem skończyła się pewna epoka - barwna, ciekawa i niepowtarzalna. Epoka ciekawych i spokojnych ludzi, którzy się nie spieszyli, potrafili uważnie słuchać, dowcipnie wspominać i opowiadać. Pani Monika nie rozumiała słów stres i frustracja.

Na koniec, jeszcze jedno. Przy wejściu do domu w Konstancinie do dziś wisi tabliczka, że jest on własnością Anny i Moniki Żeromskich. Monice wszyscy zarzucali, że na domu nie ma tablicy, mówiącej, że mieszkał w nim Stefan Żeromski. Dom stoi cofnięty, w głębi ogrodu. Takiej tablicy na ścianie nikt by nie widział. Ale w pewnym momencie, ulicą Żeromskiego przekopywano linię gazową. Monika nie przeprowadziła gazu do domu, bo nie miała na to pieniędzy, a była to bardzo kosztowna impreza. Gdy ekipa doszła do jej domu, natrafiła w ziemi na wielki głaz. Profesor Lorentz był zachwycony znaleziskiem. Powiedział, że jest to głaz dyluwialny. Pani Monika kazała go wykopać i wydobyć. Stanął przy wejściu do domu. Monika umieściła na nim napis w formie piramidy: dom Stefana Żeromskiego. Pomysł na rozplanowanie metalowych litera przyszedł jej w nocy we śnie. Bardzo była z tego rozwiązania zadowolona.Teraz każdy przechodzień widzi ten kamień.

Witold Malesa- Boniecki
marzec 2015 r.